Lwów dnia 1. sierpnia 1900. **Nr. 15.**

NOWY FAUN

DODATEK HUMORYSTYCZNY
DO DWUTYGODNIKA
PRZEMYSŁOWO-HANDLOWEGO
I GOSPODARCZEGO
„DŹWIGNIA“
wychodzącego we Lwowie co 1-go i 15-go każdego miesiąca.



— Słuchaj Kaśka, coś ten syn arendarza, Josiek, bardzo się koło ciebie kręci. Cóż to bestyjo, możebyś wyszła za niego?... Ej bo!...

— A idźże z takiem gadaniem! Cóż to, czy ja jaka frajcuską szlachcianka, abym se żyda na męża brała?

„FAUN“.

Dzieło stworzenia dobiegło już końca;
Zeus gromowładny usiadłszy na tronie
W chmur i błyskawic złocistych koronie.
Odetchnął — niebo ozłocił blask słońca.

Z obszarów ziemi jakiś szmer daleki,
Niby wzburzone wichrem morza fale,
Płynął do tronu w powietrznym krysztale —
Zeus spojrzał na dół i zmarszczył powieki.

To tłum się burzył i wykrzykał hardo:
„Panie! ach poco nas stworzyłeś, poco?
Pół nam żywota osłoniłeś nocą,
I za mieszkanie dałeś ziemię twardą“.

„Nam tutaj smutno!“ — Zeus się podniósł z tronu
Pochwycił w rękę pęk piorunów cały,
I już miał rzucić na tłum rozszalały
I -- chwile twórcze zmienić w chwile zgonu....

Nagle powziąwszy inną myśl, w tej chwili
Stworzył twór nowy: — na głowie
Twarz ludzka, ogon i koźlęce nogi,
Słowem pół-człowiek a pół kształt goryli.

„Faun jest twe imię! idź na świat szeroki
Wytykaj błędy, śmiej się z ułomności,
Gdzie twoja postać kosmata zagości,
Niech ludzie z śmiechu biorą się za boki“.

A Faun uleciał na tej ziemi łany,
I jej mieszkańcom przez ciąg czasu wielki
Płatał wesołe żarty i figielki,
Aż z mitologią poległ zapomniany.

— — — — — — — — — — — — — — —

Lecz dziś zmartwychwstał znowu na tym świecie,
Dewizą jego: **„Śmiechem prosto w serce!“**
A to co czuje w życiowej rozterce,
Umieszczać będzie w tej — oto gazecie.

Irydion.

ŁATWIEJ

Szykanować tych, którzy co na świecie zrobili, niż samemu co zrobić.
Ożenić się, niż być dobrym mężem.
Mieć dzieci, niż zapewnić im szczęście.
Podpisać weksel, niż wykupić go w terminie.
Być bankierem, niż poetą.
Stracić sto tysięcy, niż zarobić koronę.
Nadymać się pychą, niż zasługiwać na szacunek.
Zbłądzić niż być uczciwym.
Dojść do znaczenia i majątku przez protekcyę, niż do chleba przez pracę.

DZISIEJSZE POJĘCIA.

Człowiek rozumny. Słyszysz? ten pan N. prawdę mówi i ma najzupełniejszą słuszność.

Człowiek bogaty. Dajże pokój! Zkądże on może mieć słuszność, lub prawdę mówić, skoro nie ma pieniędzy.

MIĘDZY MAJSTRAMI.

— Ten mój nowy czeladnik kradnie.

— O! i mój bierze, co prawda i to dosyć bierze.... ale żeby kradł, tego nie mogę powiedzieć.

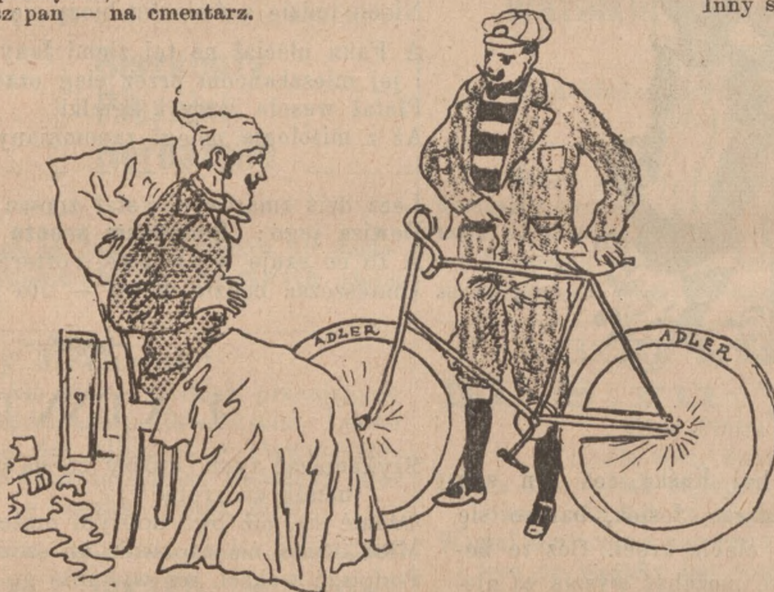
ROWER TO ZDROWIE...



— Trzeba zażyć co godzinę
Sześć miksturek i chininę.
Jeśli tego nie spamiętasz,
Rychło pójdziesz pan — na cmentarz.



— Przyjacielu, więc tyś chory?
Widzę, trują cię doktory,
Precz apteczne te bagaże!
Inny środek ja ci wskażę.



— To lekarstwo jest dla ciebie
Będziesz zdrów — jak Bóg na niebie!



— Dzięki przyjacielu, czuję
Że już zdrowie odzyskuję,
Bo po jeździe tej półdniowej
Mam apetvt — jestem zdrowy!



— Więc gdyś zdrowym już rzetelnie,
Jedzmy dobrze, pijmy dzielnie.
A ty okrzyk wznieś wesoło:
Wiwat sport! i wiwat koło!



— A więc jesteś pani od wczoraj już zamężną?
— O, dzięki Bogu... niestety tak!



— Zanim cię przyjmę, chciałabym zobaczyc twoją książeczkę służbową.
— Oto jest prcszę pani tom pierwszy.



— Jak widzę, masz pani śliczne zęby?
O tak, odziedziczyłam je po matce.



— Panie Siłberzweig, jestem oskarzony o fałszywy krydy. Którego obrońcę mi pan radzi wziąć?
— Weź pan Dr. Langenase, ten mnie bronił. Powiadam panu, że wun w sądzie, jak potrzeba, to nawet płacze!

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Umrę już z tęsknoty,
Z żalu serce pęka,
Pierzchł sen szczęścia złoty,
A została męka.
W inne pójdę światy —
Gdzie połyska tęcza
Gdzie rój gwiazd bogaty
Srebrny sierp uwieńcza.
Z wiosną błyśnie zorza,
Gdy zakwitną kwiaty
Słowikiem z za morza,
Spłynę do twej chaty.
Pod oknem usiędę,
Co wieczór, co rano,
Miłość śpiewać będę —
Na ziemi przerwaną.
Drobniuchną ptaszyną,
Nie pogardzisz przecie,
I znajdę dziewczyno,
Raz szczęście na świecie. *B.*

COLOSSEUM.

Opowiadanie Antka Rozdobędy, terminatora

— Ho, ho! byłem ci ja wczoraj w kalafon...ni, w kalodont...ni, aha! rychtyk — w kozoleum. Tamci dupiro heca niboże, że gadam wam sumiennie: niczem oś tyjater abo Sidoli co był z cyrkusem. Tutaj patrzysz furt, taj patrzysz, a napatrzyć si nieprzymierzając ni możesz.

Jakeśmy ci z Józkiem narukowali na galanteryję w kozoleum, tak muzyka od firundcwancig fajnie zagrała, a firankę hej kurtynę, podnieśli do góry. Wyszłoci jakichś dwóch kafarów na scenę i zaczeli dzie niektóre gumelastyki pokazować. Jeden spacerował po drucie jak po ziemi, ale to nie sztuka bo wiadoma rzecz, że on ma w podeszwie od buta magnys i bez to się psianoga fest drucianej liny trzyma. Potem hiszpańska panna tańcowała i śpiewała, cóż kiedy brzydka je, a do teściowej majstra całkiem podobniuśka. Ino ona tancyrka odeszła, przyszło dwóch aliganckich panisków i zaczęli jeść sobie gorący ogień, nieprzymierzając jak kiełbasę z kapustą. Józek powiada, że to taki ogień co nie bardzo piecze, taj łykać nie sztuka. »Żebym ja tak«, powiada, »dał im się napić tej siwuchy, co mój majster piją, tobyś widział, żeby żadyn ani kieliszka nie łyknął, chocia ogień jedzą.» Oblizaliśmy się oba na takie wspomnienie, taj patrzymy jak jakiś facyt przyprowadził świnię i różne z nią dziwności pokazuje. Tu już Józek nie mógł wytrzymać ze złości i pada, że to jest obraza Boska, aby z taką tłustą świnią, z którejby można różne szynki, kiełbasy i serfuladki zrobić, takie hece wyprawiać. Ot, wziąłci panisko pistolędzie i bums! do świni. Świnia zrobiła waryata i leży na ziemi niby zastrzelona i nic się nie rucha. Potem zakrzyczał panisko po niemiecku: *die Buren kommen!* niby że Bury idą na Anglików. A świnia ze strachu w nogi. Naród okrótnie bił brawo, że świnia tak, niby, Angliki, nastraszyła się Burów. Józek już nie mógł wytrzymać, żeby hecy nie zrobić i jak ten panisko drugi raz znów do świni wystrzelił, a świnia udała nieboszczyka, takci Józko krzyczy z galanteryi:

»Underka idzie!«

Na to świnia jedna i druga i jedna tłusta żydówka z parteru dalejże w nogi; a nas wziął špicel za kołnierz i wyrzucił na dwór, ali to już do rzyczy ni na leży i już.

ZAGŁADA ŻAB.

(Rzecz dzieje się w Chinach).

Między lasami, między górami,
Był staw zarosły szuwarem,
Staw się ten roił wiecznie żabami
I dźwięczał zawsze ich gwarem.
Spokojnie żyły żaby w tym stawie,
Swobodnie, zawsze wesoło,
Niczyje oko nigdy ciekawie,
Nie zaglądało w ich koło.
Wśród wiecznej wrzawy i wiecznej zwady,
Którą król żabi łagodził,
Nikt nie przypuszczał rychłej zagłady,
Dzień po dniu bezpiecznie schodził.
Raz kiedy żaby te stujęzycze,
Pląsały znowu gwarliwie,
Gdy przygłuszały pienia słowicze,
Nagle zamilkły skwapliwie.
Zaszumiał wicher z zachodniej strony,
Kładą się trawy stepowe,
Sunie trawami tłum niezliczony,
Sunie się wojsko wężowe.
Zjadliwe węże suną za łupem,
I w strasznym swoim pochodzie,
Niszczą w około i kładą trupem,
Wszystko na ziemi i wodzie.
Padł strach na żaby dotąd spokojne.
Pewna je czeka zagłada,
Przyjdzie im zginąć, lub przyjąć wojnę,
Więc walna wśród nich narada.
Stare okupem zbyć wężów pragną,
Młode do walki gotowe.
Pod jarzmo wrogów karku nie nagną,
I wznoszą krzyki bojowe.
Przyszły więc węże i pełne zdrady,
Nuż obiecywać nie mało,
Nim się skończyły z wrogiem układy,
Żab w całym stawie nie stało.

Emil Schayer.

POEZYA i PROZA.

Dwóch się zeszło raz poetów:
Zaczynają więc rozmowę,
O budowie tryoletów,
Wyliczają wiersze nowe.
I tak dalej i tak dalej,
Rozmawiają wciąż na mrozie,
Jeden się przed drugim żali,
Na złe chwile w życia prozie.
Rzecze jeden: Wiesz mój drogi,
Czemu chodzę jakby struty?
Nie? — Więc popatrz na me nogi,
Raczej na.... dziurawe buty! *M.*